

Za datę otwierającą okres hitlerowskich zbrodni na ziemiach polskich często przyjmuje się 26 grudnia 1939 roku — datę masowej egzekucji w Wawrze pod Warszawą. W istocie rzeczy jednak data powyższa nie stanowi żadnej cezurę. Masowe zbrodnie popełniane były przez hitlerowców od pierwszych dni agresji na Polskę; rozpoczęły się nie pod koniec grudnia — lecz już w pierwszej dekadzie września 1939 roku.

Pierwszymi ofiarami hitlerowskiego bestialstwa byli żołnierze armii polskiej wzięci do niewoli w trakcie kampanii wrześniowej 2 września w rejonie Rybnika na Śląsku do niewoli dostała się grupa żołnierzy należących do 12 pułku piechoty. Jeńców tych rozjechano czołgami. I choć ta data — pierwszego ustalonego faktu pogwałcenia przez hitlerowskie wojska międzynarodowych praw i norm regulujących prowadzenie wojny — otwiera historię nazistowskich zbrodni wojennych, których pierwszym rozdziałem były liczne morderstwa popełniane na polskich jeńcach wojennych.

Zbrodnie pod Rybnikiem była swymi rozmiarami stosunkowo nie wielka w stosunku do innych faktów, których dostarcza dzieje września. Za najbardziej bodaj „reprezentatywną” zbrodnię na jeńcach wojennych w trakcie kampanii wrześniowej uważa się masowy mord, popełniony około 9 września w lesie państwowym pod Dąbrową w powiecie ilzickim w woj. kieleckim. Przechowywała się o niej relacja naocznych świadków — jakiegoś żołnierza niemieckiego — sporządzona na piśmie pod tytułem „Nasza pierwsza walka w Polsce” i zaopatrzona materiałem fotograficznym, która dostała się w ręce Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie kilkanaście lat temu. Autor opowiada, jak zmotoryzowane oddziały hitlerowskie natrafiły we wspólnym lesie na skuteczny opór polski, który za cenę poważnych strat przełamały dopiero po dłuższej walce. A oto tłumaczenie dalszego fragmentu relacji:

„Dowódca pułku, płk. Wessel (z Kassel) szaleje, stwierdził że ma do czynienia z partyzantami, jakkolwiek każdy z polskich jeńców ma na sobie mundur. Zmusza ich do zdjęcia kurtek. No — teraz już prędzej wyglądają na partyzantów. Te raz odcina im się jeszcze szelki, widocznie po to, aby nie mogli uciec. Następnie każe iść jeńcom brzemieniem szosy, jeden za drugim. Nasuwa się pytanie dokąd się ich prowadzi? W kierunku powrotnym do taborów, które ich wkrótce przekażą do jeńckiego punktu zbornego?”

W pięć minut później usłyszałem terkot tuzina niemieckich samochodów. Pospieszylem w tym kierunku i o 100 m w tyle ujrzałem rozstrzelanych 300 polskich jeńców wojennych, leżących w przydrożnym rowie. Zaryzykowałem zrobienie dwóch zdjęć, a wtedy stanął dumnie przed obiektywem jeden z tych strzelców — motocyklistów, którzy na polecenie płk. Wessela, dokonali tego dzieła.”

Autentyzm relacji potwierdzają dołączone do niej fotografie oraz zeznania polskich świadków z Dąbrowy, którzy ilość zamordowanych jeń-

ców oceniają na 400. Jednostki niemieckiej, która dopuściła się tej potwornej zbrodni nie udało się dotychczas dokładnie zidentyfikować. Z analizy sytuacji operacyjnej w rejonie Ilży w dniach ok. 9 września i pewnych danych organizacyjno-technicznych podanych przez nieznanego autora cytowanej relacji wydało się, że zbrodni dokonali wojska wchodzące w skład XV korpusu lekkiego (pancerno-motorowego) dowodzonego przez gen. piechoty Hotha, najprawdopodobniej — pułk kawalerii zmotoryzowanej należący do 3 Dywizji lekkiej dowodzonej przez gen. mjr. Kuntzena.

Miejszem masakry polskich jeńców wojennych był również Zambrow w nocy z 13 na 14 września. Na plac ćwiczeń miejscowych koszar, na którym Niemcy zorganizowali punkt zborny dla jeńców polskich z niewyjaśnionych przyczyn wpadły trzymano obok konie z rozbitego taboru polskiego. Wśród jeńców — ilości ok. 4 tysięcy — wy-



Nr 306 10. IX. 1967

Rok VII

strzelano 50 żołnierzy bydgoskiego batalionu Obrony Narodowej...

Odrębny rozdział tego rodzaju spraw stanowi wymordowanie przez hitlerowców wziętych do niewoli obywateli poczty gdańskiej. W odróżnieniu od poprzednich, mord ten na stał się na podstawie pseudowyroku sądu polowego przy grupie gen. Eberhardta operującej na wybrzeżu. Ta „legalizacja” nie zmienia jednak w niczym faktu, że wyrok śmierci na całej grupie polskich kombatantów, którzy broniли swej placówki w Gdańsku przed agresją z zewnątrz i którzy spełniali wszelkie warunki wymagane przez art. 1 Konwencji Haskiej był zwykłym morderstwem. Od pierwszych więc chwil prowadzenia wojny przez hitlerowskie Niemcy zdarzały się liczne wypadki

gwałcenia przez nie prawa międzynarodowego w postaci mordowania polskich jeńców wojennych. Zwrócić należy przy tym uwagę, że odpowiedzialność za niemal wszystkie tego typu przypadki spada na Wehrmacht. Pominąwszy mord w Zambrowie dokonany przez oddziały liniowe SS oraz specyficzny przypadek pocztowców gdańskich, gdzie gen. Eberhardt znajdował się pod silnym naciskiem nazistowskich czynników poza wojskowych, które zresztą nie mogły mu ponoć zapomnieć, że — jak świadczy niektóre relacje — zdecydowanie i skutecznie przeciwstawił się zamiarom wymordowania wziętych do niewoli obrońców Westerplatte — zbrodnie dokonywane były z własnej inicjatywy i wykonywane przez liniowe oddziały armii regularnej oraz tolerowane przez jej wyższych dowódców. To ostatnie odnosi się w szczególności do dowódcy 10 armii gen. Reichenaua, na podlegające któremu oddziały pancerne i zmotoryzowane (2.3 D Lek. 4 D Panc. i in.) spada odpowiedzialność za lwia część mordów popełnionych na jeńcach wojennych w toku kampanii wrześniowej. Toteż można stwierdzić, że liczne wypadki mordowania polskich jeńców wojennych nie tylko wskazują na gwałcenie prawa międzynarodowego przez hitlerowskie Niemcy od pierwszych godzin prowadzenia wojny, lecz równocześnie zadają kłopot szerszemu do dziś w NRF mitowi, składającemu odpowiedzialność za wszelkie zbrodnie na SS i Gestapo a przedstawiającemu Wehrmacht jako „szlachetny”, „rycerski” i wolny od wszelkiej winy.

buchła panika. Straż punktu zbornego złożona z SS-manów otworzyła ogień z broni maszynowej, trwający przez dziesięć minut a następnie rannym zabroniła udzielić aż do świtu jakiegokolwiek pomocy. W rezultacie tej rzezi ok. 200 jeńców straciło życie.

Innej potwornej zbrodni dopuścił się wojska hitlerowskie — najprawdopodobniej oddziały wstawionej okrucieństwem, elitarniej 4 Dywizji Pancerniej we wsi Śladow w powiecie sochaczewskim w dniu 18 września w końcowym stadium bitwy nad Bzurą. W dniu tym, nad brzegiem Wisły hitlerowcy zamordowali 150 jeńców wojennych oraz przynajmniej drugie tyle osób cywilnych spośród uchodźców i miejscowej ludności.

Obok tych ogromnych swymi rozmiarami masakr udało się ustalić znaczną liczbę wypadków mordowania przez hitlerowców jeńców wojennych w mniejszych grupach. W rodzaju wspomnianego na samym wstępie bestialskiego mordu pod Rybnikiem. Oto garść przykładów:

3 września we wsi Bugaj w pow. Radomsko Niemcy zestrzelili samolot polski i wzięli do niewoli jego dwuosobową załogę. Jednego z jeńców po bestialskich torturach (obcięciu języka, uszu i nosa) zamordowano.

4 września w Opatowcu w pow. Pińczów hitlerowcy rozstrzelali 45 jeńców polskich.

8 września w Mszonowie żołnierze niemieccy rozstrzelali 13 jeńców.

20 września w Majdanie Wielkim koło Tomaszowa Lubelskiego zamordowano 42 jeńców.

22 września w Sochaczewie roz-

dla wielu innych, ważnych problemów życia publicznego; dyskusji w parlamencie na temat stanowiska rządu wobec kryzysu bliskowschodniego, czy członkostwa Austrii w EWG. Proklamowana przed 12 laty neutralność kraju jest po dziś dzień jedną z pryncypialnych zasad austriackiej polityki zagranicznej. Delegaci austriaccy, biorący udział w licznych konferencjach międzynarodowych, zasiadający w wielu organizacjach starają się idee neutralności reprezentować. Także decyzja ONZ zorganizowania w Wiedniu głównej kwatery Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej podjęta została po zjednoczeniu Austrii jako państwa niezależnego i neutralnego.

W spokojnym i nieco podstarzałym społeczeństwie austriackim, zasada neutralności spotyka się z pełnym poparciem i uznaniem. Wiąże się to z jakimś pragnieniem trwałości i stabilizacji, tradycjami braterstwa i jedności narodów, niewygasłymi tu od czasu ery wiktoriańskiej. Symbolem tych tradycji jest obecnie szeroko płaszczyzna kontaktów turystycznych i kulturalnych, w ramach odżywiającego w naturalnej swej formie związku krajów naddunajskich. Jednym z jej

przejawów są przecież doroczne festiwale: kulturalny w Wiedniu, czy muzyczny w Salzburgu, na które sprasza się przede wszystkim artystów z sąsiadujących z Austrią Węgier i Czechosłowacji.

Życie polityczne, chociaż toczy się tu jakby wolniej obfituje w liczne i o sporym ciężarze gatunkowym wydarzenia. Austriacy mniej może niż inne narody interesują się wydarzeniami, rozgrywanymi się poza granicami swego kraju; za to zwracają baczną uwagę na wewnętrzną sytuację polityczną. Warto odnotować dwie sprawy, skąd płać bodaj największą uwagę austriackiej opinii publicznej: pojawienie się w życiu politycznym tego kraju przedstawicieli ostatniej dynastii panującej — Otto Habsburga oraz wzrost nastrojów nacjonalistycznych w austriackiej frakcji neofaszystowskiej NPD.

Wbrew pozorom pojawienie się Habsburga nie przyczyniło się do poważniejszego wzmocnienia tendencji monarchistycznych w społeczeństwie austriackim; nie znaczy to jednak, że przemienie zupełnie bez echa. Po powrocie do kraju, Otto Habsburg odwiedził dotychczas około 200 wsi w najbardziej zafolowanych rolniczych regionach: Tyrolu

Piotr Życki

Piękna i silna, ale...

Nie kryję się z tym: nie lubię Dnia Kobiet. Nie lubię ósmego marca, obrosłego z biegiem czasu konwenansem okolicznościowych kaw i cklowych mówek, podnoszących raz w roku tak zwany „wkład w” naszych niewiast. Czuję się zażenowany, gdy dochodzi mnie wieść, iż rada zakładowa fabryki X z okazji Dnia obdarowała pracowników tabliczkami czekolady, a rada zakładowa przedsiębiorstwa Z — ręcznikami frote. I trudno mi się każdego ósmego marca oprzeć refleksji, że kobiety wołałyby zamiast wątpliwej pociągającej okolicznościowej — odnowioną prozę codzienności: sklepy bez kolejek z pełnym wyborem towarów, a mo- że po prostu... tańsze i lepsze pończochy.

Życie ma to do siebie, że idzie nieubłagane naprzód. To, co było celowe przed laty, dzisiaj traci anachronizm. Dzisiaj nikogo w Polsce nie dziwi kobieta-lekarka, kobieta z kierownicą, kobiety chemiczki i zegarmistrzowie, kobiety w sędziowskich togach czy kołnierzykach mundurowych. I dlatego sądzę, że aktualny stan rzeczy wymaga nie tyle dorocznego fetowania pięknej płci, ile stałego troszczenia się o jej specyficzne problemy.

Nie mam na myśli tylko — skądinąd istotnej, a i dla męskich portfeli nie najgłabszej — sprawy jakości i cen nylonów, dresów, czy kiecek. Specyfika damskiej społeczności polega na tym, iż kobiety pracują zawodowo, społecznie i domowo. Oczywiście, nie wszyscy! ale tak znaczna (i wzrastająca) ich część, że wymaga to najszerzej rozumianego zainteresowania. Stałego zainteresowania.

Światowy rekord zawodowego zaangażowania kobiet dotyczy NRD: niemal trzy czwarte żeńskiej części społeczeństwa pracuje w przemyśle, handlu, transporcie, budownictwie, usługach. W Polsce procent niewiast „zawodowo czynnych”, jak to określa urzędowa statystyka, jest zdecydowanie niższy. Dodajmy od razu, że w naszym regionie jest on niższy od przeciętnej w kraju.

Ale przecież w samym Poznaniu kobiet pracujących zawodowo jest 84.000, a w województwie — 148.000, razem więc w Wielkopolsce mamy zatrudnionych niemal ćwierć miliona reprezentantek pięknej płci. Wiele z nich udziela się też aktywnie społecznie: do partii należy 23.000, stanowią one niemal jedną trzecią ogółu członków związków zawodowych i tak samo odsetek spółdzielców. Nie są to liczby małe. Co więcej, jesteśmy świadkami feminizacji licznych zawodów. Widzi się to nie tylko w służbie zdrowia, wśród kadry pedagogicznej, czy w łączności; kobiety biorą we władanie handel, gastronomię, umacniając swą pozycję w przedsiębiorstwach komunikacji.

Ba, gospodarka narodowa gotowa wchłonąć ich o wiele więcej niż na to pozwala aktualny rynek rąk do pracy.

I w tym tkwi rzeczy sedno — jak mówią słowa pewnego szlagiera. Nie pomoże tu wiele apelowanie, nawoływanie, przekonywanie, a nawet szkolenie. Bowiem ósmomarcowe okolicznościówki swoją drogą, a życie — swoją. Jeśli chcemy, a właściwie nazwijmy rzecz po imieniu: jeśli potrzebujemy więcej zaangażowanych zawodowo i społecznie kobiet — pora wreszcie energiczniej wziąć się za stworzenie im po temu należytych warunków.

Tajemnica sukcesów NRD w zawodowym (brrrr, co za słowo!) uaktywnianiu niewiast jest arcyprosta: żłobki — przedszkola — szkolne półinternaty — dobra sieć sklepów (ale też szybka w nich obsługa i pełen wybór towarów) — rozwój placówek usługowych (na stawionych na przykład na tak prozaiczne czynności, jak sprzątanie mieszkań) — stołówki zakładowe — bary szybkiej obsługi w miejscach zamieszkania — opieka lekarska nad dziećmi i kobietami (sprawna i pewna).

To wszystko — zwłaszcza — jeśli ma być zorganizowane „na medal” — diabli dużo kosztuje, to fakt. Ale, jak o tym świadczy, choćby przykład sąsiadów, bardzo się opłaca. A poza tym, a może raczej przede wszystkim — jest to społeczna konieczność, w obliczu której znaleźliśmy się bodaj szybciej niż wynikałoby z przebiegu pierwszych obchodów ósmomarcowych w latach czterdziestych.

A jest co robić. Nasza baza żłobkowo-przedszkolna pozostaje wciąż uboższą; Poznań zapewnia niemowlakom 2800 miejsc a małym dzieciom 8.500, województwo ma dla najmłodszych jeszcze mniej miejsc — zaledwie 2000, za to przedszkola mogą przyjąć 28.000 maluchów. Sieć stołówek przy zakładach jest również skromna, a istniejącym na ogół bardzo daleko do standardu NRD-owskiego (rozmaitość i jakość potraw, dietetyka, sprawność obsługi, sprzedaż posiłków na wynos). Półinternatów szkolnych, zapewniających uczniom opiekę ogólną i pedagogiczną w godzinach pozalekcyjnych — jak na lekarstwo.

I dlatego niech mi nikt nie wmawia, że nie nazbyt duży u nas odsetek pracujących kobiet — to wynik niezrozumiałych oporów, konserwatyzmu, niechęć do nowych form życia. Doza tego może i jest. Ale dominują u naszych żon czy siostr — elementy rzeczywego obrachunku, mierzenie zamiarów na siły. W Poznaniu i w Wielkopolsce może bardziej niż w innych regionach kraju.

Potrąfią bowiem niewiasty sobie zdać sprawę z tego, co oznacza łączenie pracy zawodowej z nieefektywną, a przecież konieczną — pracą domową. A poza tym — o czym tu dotychczas nie było mowy — pragną one pozostać kobietami i... podobać się nam.

Samo bowiem powtarzanie powiedzonek na temat rzekomej krzepy płci, określanej od wieków mianem słabej — stanu faktycznego nie zmienia.

upust w imprezach organizowanych przez ugrupowania pravicowe i nacjonalistyczne. Mogłem się o tym przekonać chociażby podczas niedawnej celebracji wojskowej rocznicy urodzin cesarza Franciszka Józefa. Powiadomiony uprzednio przez moich austriackich kolegów po piórze udałem się do wiedeńskiego Hofburgu (siedziby Rady Ministrów) gdzie odbywały się owe uroczystości. Do zgromadzonych tu kombatantów przemówił przedstawiciel austriackiego ministerstwa wojny. Kilka osób protestujących przeciwko tego rodzaju „narodowym uroczystościom” usuniętych zostało przez policję. Swoistego posmaku nadawało zresztą całej tej imprezie uczestniczenie w niej oficjalnych przedstawicieli zachodniemieckich „ziomkostw” żołnierskich...

Wzrost nastrojów nacjonalistycznych wiąże się tu także z działalnością neofaszystowskiej NPD. W odróżnieniu od NRF, neonazizm austriacki nie dysponuje poważniejszą siłą polityczną. Nie celuje też w otwarte głoszenie faszystowskich haseł. Jego program jest inny; wysuwa na czoło kampanię przeciwko

Dokończenie na str. 2

Jerzy Walasek

Neutralizm i brunatne cienie

Korespondencja własna z Wiednia

Cudzoziemcom przybywającym do Austrii w drugiej połowie 1967 roku nieco dziwny wydać się może fakt, że na czoło problemów nurtujących opinię tego kraju wysuwa się jeszcze ciągle sprawa jego neutralności. Stanowi ona tutaj rodzaj wspólnego mianownika,

FELIKS DZIERŻYŃSKI

W 90 rocznicę śmierci

„Życie będzie mnie mogło jedynie zardzożyć, tak samo jak burza stulecie dechy wali, lecz nigdy niezmieni. Życiowe warunki tak już mąją pokierowały, że ten prad, który mnie uniósł, po to tylko wyrzucił mnie na jakiś czas na brzeg bezludny, by później z nową siłą porwać ze sobą i unosić wciąż dalej i dalej, aż póki zupełnie zniszczę się w walce...”

Tak pisał dwudziestoletni za ledwie Feliks Dzierżyński z zesłania w guberni wiatkiej. Służbę rewolucji rozpoczął jeszcze jako uczeń gimnazjalny w młodzieżowych kółkach socjalistycznych, a od 1895 roku działał już w Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej. Działalność ta zwraca na niego uwagę policji carskiej.

Ucieka „z brzegu bezludnego” przez bagna i lasy, z narażeniem życia do kraju, do towarzyszy walki.

W Warszawie trafił na wielkie aresztowania wśród działaczy Socjaldemokracji Królestwa Polskiego: miał dopiero 22 lata — a jednak to jego zastępą było odbudowanie partii, połączenie SDKP z internacjonalistycznymi elementami Związku Robotników Litewskich i Litewskiej Socjaldemokracji. Powstaje Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, Dzierżyński zostaje wybrany do kierownictwa partii. Wkrótce staje się jednym z czołowych jej przywódców. Potem przyszły lata aresztowań i zsyłek. W sumie 11 lat swego życia spędził w więzieniach.

Zawsze uważał się za „żołnierza na posterunku” — jak to określił w

jednym ze swoich listów. Zawsze posterunki te były najtrudniejsze.

Feliks Kon wspomina o ciężkich czasach kiedy transport dogorywał z braku opału, a na stacjach stały nierozładowane pociągi. Dzierżyński miał nowy został komisarzem ludowym komunikacji. Osobiście postanowił zbadać sytuację.

Przemoc traktował jedynie jako środek walki narzucony przez bezwzględność wroga. To on, który stał na czele Ogólnorosyjskiej Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem — pierwszy wystał z inicjatywą zniesienia kary śmierci i ograniczenia funkcji WCZK, gdy tylko minęło największe niebezpieczeństwo.

W roku 1924, partia powierza Dzierżyńskiemu trudne zadanie kierowania Najwyższą Radą Gospodarczą Narodową. W jego ręce spada odpowiedzialność za odbudowę i rozwój przemysłu młodego Kraju Rad.

„Stojące przed nami zadania — mówił jako kierownik gospodarki radzieckiej — będą mogły być rozwiązane pomyślnie tylko pod jednym warunkiem: jeżeli staną się zadaniami najszerzych mas proletariatu”.

Do śmierci pozostał wierny młodzieńczej przysiędze, że „walczyć będzie ze złem aż do ostatniego tchu”. Był przekonany, że wartość życia może być mierzona tylko działalnością człowieka.

K. S.

założycieli partii) Norbert Burgier oświadczył, iż sytuacja polityczna wymaga obecnie nasilenia sabotażu w południowym Tyrolu. To samo twierdzenie powtórzył zresztą później w wywiadzie dla zachodnioniemieckiego magazynu „Quick”.

Działalność austriackich neofaszystów możliwa jest dzięki dotacjom, przekazywanym na fundusz partyjny z NRF. Z pieniędzy tych utrzymują się zresztą także główni bonzowie partii z Burgierem na czele. Jak oświadczył niedawno rzecznik prasowy austriackiej NPD — Sepp Watschinger, sama tylko działalność propagandowa partii pochłonięła w ostatnim roku około 2 mln. marek.

O jaką tu „działalność” chodzi wiemy z oświadczeń przez austriackich neonazistów nacjonalistycznych hasel o niemieckiej wspólnocie narodowej. Nietrudno też doszukać się bezpośrednich związków między ową „działalnością propagandową” a strzałami, które budzą grozę w spokojnych alpejskich dolinach.

JERZY WALASEK

*) Popularne dawniej zespoły ludowe grające w czasie święta winobrania.

**) Odpowiednie jej przepisy zabraniały członkom byłej dyktacji Habsburgów tworzenia partii i ugrupowań politycznych oraz piastowania stanowisk państwowych.

tu i ówdzie narzekali niektórych nauczycieli, że prasa pisze zbyt dużo o szkolnictwie i utrudnia życie nauczycielowi — warto tu przytoczyć stanowisko w tej sprawie przedstawione przez Mikołaja Kozakiewicza w „Głosie Nauczycielskim”. W artykule

NAUCZYCIELE WOBEC KRYTYKI PRASOWEJ

Autor występuje przeciwko uogólnianiu, że szkolnictwo traci na tym, iż się o nim wiele pisze.

„W rozpoczętej nowej fazie żywej dyskusji prasowej na temat szkoły i nauczycieli — czytamy — nie należy widzieć kolejnej klęski, tylko kolejną szansę na wygranie różnych spraw dla dobra oświaty, jeśli w dyskusji tę umiejętnie włączy się całe nauczycielstwo od Zarządu Głównego ZNP poczynając, a na szeregowych nauczycielach stojących bezpośrednio przy warsztacie kończąc”.

Jednym z takich wystąpień dyskusyjnych jest właśnie artykuł Kozakiewicza na łamach „Życia Literackiego”. Pisz

O POTRZEBIE EKONOMIKI... TALENTÓW

Poruszają dwie sprawy: ocenę obecnej reformy szkolnej i jakość kandydatów na wyższe uczelnie. Kozakiewicz polemizuje z prof. Falskim, który w obecnie realizowanej reformie szkolnej widzi tylko ko niewielkie zmiany i poprawki.

Kozakiewicz przypomina w związku z tym, że wprowadzenie powszechności nauczania w zakresie 8 klas odbyło się w kraju, w którym jeszcze nie tak dawno większość obywateli poprzestawała na czterech klasach. Przy wszystkich niedostatkach reformy już ten fakt wystarczy, by uznać ją za wydarzenie przełomowe. Można natomiast już teraz zastanawiać się nad założeniami reformy ustrojowo-programowej szkolnictwa, która z pewnością będzie musiała być wprowadzona za 15 czy 20 lat. Jest to konieczne, bo w

Mówi Konrad Nałęcki — reżyser „Czterech pancernych i psa”

— ... jesteśmy dopiero w marcu 45. Szmata czasu przed nami.

— Jaki szmat? Wojna przecież kończy się w początkach maja. Więc zaledwie trzy miesiące.

— Wystarczy. Zapomina pani o Berlinie.

Ma rację. Zdobyć Berlina ukazane w przeżyciach naszych przyjaciół z „Czterech pancernych i psa” to starczy na całą epopeję.

— Może zdążymy z robotą na wrzesień 69 — kontynuuje reżyser Nałęcki, i widząc moją zawiedzioną minę, dodaje: — Następna seria będzie się składała z trzynastu odcinków, co da w sumie 11 godzin projekcji.

— To dobrze, bo na „Pancernych” młodzi widzowie czekają z podobną niecierpliwością, jak na Kildarów, Świętych czy Klossów.

— Z niecierpliwością, ale nie podobną. Całkiem inną. Moi młodzi widzowie wiedzą, że opowiadam im prawdę. Że za ekranowymi losami „Itudego” stoją rzeczywiste lata walki z najeźdźcą. Starałem się, by „Pancerni” przemówili do odbiorcy jako dokument obyczajowy wojny. Chciałem mu przekazać żołnierską dółę w jej warstwie zarówno dramatycznej i tragicznej, jak i w warstwie codziennej. Mój film daleko odbiega więc od kryminału i sensacji, i chyba młodzi widzowie odbierają „Pancernych” inaczej niż klasyczny tak zwany „thriller”.

— Jest pan o tym przekonany?

— Tak, bo mi to wręcz mówią; widzowie polscy i radziecy na spotkaniach i w tysiącach listów. „Niech już nikt więcej nie ginie” — proszą. A w takim Świętym, na przykład, chodzi o to, by trup padał gęsto, by skuteczne sceny rewolwerowe goniły jedną drugą. Czy dlatego, że odbiorca jest sadystą i lubi oglądać morderstwa? Nie. Tylko zdaje sobie sprawę, że w wypadku Barona czy Świętego ma do czynienia z fikcją, a w wypadku „Pancernych” z rodzajem dokumentu, z obrazem rzeczywistości. A rzeczywistość wojenna — jak wiadomo — to nie tylko bicie wroga, ale i ponoszenie strat. Nie pozwoliłem o tym widzowi zapomnieć w ciągu całego filmu. To temat naczelny drugiej noweli. Zastanawialiśmy się wspólnie z autorami scenariusza i z aktorami, w jakim stopniu można młodemu chłopcu pokazać grozę wojny. Postanowiliśmy go nie oszczędzać. Radostę Janka z zabicia wroga złamałem surowym obrazem śmierci Niemca i radzieckiego żołnierza, przyjaciela Janka, który zginął z rąk tegoż Niemca. Taka właśnie jest wojna i tę lapidarną prawdę starałem się przekazać ludziom, którzy z autopsji — na szczęście — jej nie znają.

— Ale żeby taką wojnę wiarygodnie pokazać, trzeba stworzyć odpowiednią scenerię. Czy to zadanie trudne?

— Trudne i niebezpieczne.

— Niebezpieczne?

— Tak, bo trzeba czuć, by na

tej „wojnie” nikt naprawdę nie zginął.

— Zginął? Ale przecież w końcu to tylko zabawa w wojnę.

— Jeśli zabawa, to bardzo ryzykowna. I tego ryzyka nie można uniknąć. Na szczęście rozumiał to mój konsultant wojskowy i chciał to ryzyko dzielić ze mną. Przecież „dowodziliśmy” wbrew wszelkim wojskowym regulaminom.

— Jak to?

— Bo wedle regulaminu wojskowego czołgi powinny działać w okre-

Wojna na ekranie

lonych, dość znacznych odległościach od siebie. Tymczasem dla ujęcia filmowego odległość tę trzeba było nieraz zmniejszyć do 5 m. Zdarzało się, że zatrzymywałem się na kilka centymetrów przed kamerą. A czołg, proszę mi wierzyć, nawet w okresie pokoju jest groźnym i nieobliczalnym stworzeniem.

— Był pan więc brawurowym wodzicą.

— Byłem, ale ponieważ sam kiedyś uczestniczyłem w prawdziwej

wojnie, zdawałem sobie w pełni sprawę z odpowiedzialności. Gdy teraz sięgam pamięcią do tej swojej ośmiuodcinkowej wojny filmowej — to dochodzę do wniosku, że największe moje napięcia i niepokój powodowała właśnie odpowiedzialność za bezpieczeństwo ludzkie. Proszę nie zapominać, że miałem do czynienia z tłumem statystów, którzy udział w tej „wojnie” traktowali jako zabawę, sport. Nie działał tu więc instynkt samozachowawczy, który automatycznie towarzyszy żołnierzowi w czasie manewrów czy autentycznych działań wojennych. A dla dobra filmu takie autentyczne sytuacje musiałem stwarzać. Czuwanie nad bezpieczeństwem ludzi nie było jednak w końcu celem mojej pracy. Celem było wygranie wojny na małym ekranie.

— I wojnę tę pan wygrał. Dowodem uznania i nagroda Ministra Kultury. Czy się pan jej spodziewał?

— Nie. Przecież krytyka filmowa w najlepszym razie milczała. Ale przepraszam, czy pani oglądała nasz film?

— ...

— Nie mam pani tego za złe. Tak jest los reżysera serii telewizyjnej, która zawsze stawia się poza nawiasem sztuki filmowej. Pocięszam się, że „Pancerni” mieli chyba więcej widzów niż wszystkie pozostałe filmy polskie razem wzięte.

— Życzę równego powodzenia przy następnej, trzynastoodcinkowej wojnie. Tylko, żeby nikt nie zginął! Ani naprawdę, ani na niby.

— Zgoda, co do śmierci naprawdę. Ale na niby? To przecież będzie droga do Berlina.

Rozmawiała
EWA BERBERYUSZ

Tadeusz Kaczmarek

KSIĄŻKA

Kronika roku wolności

O pierwszych dniach wolności 1945 roku doczekaliśmy się więcej (choćby jeszcze mało), opracowań naukowych niż wspomnień czy pamiętników. Jest to o tyle zrozumiałe, że nielato było się do zapisywania zdarzeń wówczas, gdy pierwszoplanowym zadaniem, pochłaniającym czas bez reszty, były organizowanie władzy, uruchamianie fabryk, odbudowa kraju. Dlatego też często obecnie publikowane wspomnienia oparte są na ogół o jeszcze nie zapomniane wydarzenia i doświadczenia osobiste autorów. Taka jest i trzecia wspomnieniowa książka Tadeusza Beceli — „Smak wolności”. Poprzednie dwie — „Osobliwe lata” i „Lata górne i chmurne” dotyczyły okresu przedwojennego. Ostatnia obejmuje okres od wkroczenia do Poznania pierwszych żołnierzy Armii Radzieckiej po mniej więcej koniec 1945 roku.

Becela określa tę swoją książkę jako „banalny pomysł zanotowania myśli, spraw i wydarzeń przeżytych przez autora i jemu współczesnych”. Nie spo-

sób oczywiście w krótkiej stosunkowo relacji pomieścić wszystko. Toteż na kartach tej książki odnajdujemy przede wszystkim to czego autor nie zapomniał jeszcze z przeżyć własnych oraz tych ludzi, z którymi współpracował podczas sprawowania funkcji kierownika Wydziału Propagandy KW PPR i zarazem redaktora naczelnego „organu wojewódzkiego partii” — „Wola Ludu”.

Becela wspomina dni walki z brońniacymi się w Poznaniu hitlerowcami, początki budowania i działalności partii, problemy, z którymi stykali się działacze partyjni podejmujący nielato trud sprawowania władzy. Kreśli zdarzenia w sposób nieuszeregowany w czasie, przede wszystkim przez pryzmat własnych doświadczeń, wspomina działaczy partii, władz wojewódzkich i miejskich, nieraz o zapomnianych przez siebie imionach. Czasami nazbyt zawiera swoją tylko pamięć, nie próbując skonfrontować tego co pamięta z tym co jednak łatwo można sprawdzić w co prawda nielicznych dokumentach tamtych dni.

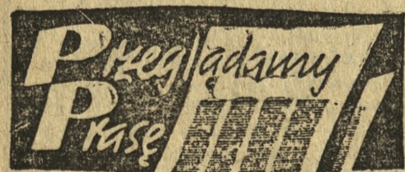
Nie szczegóły wydają się ważne Beceli, lecz fakty zasadnicze. Ich relacje czywia niekiedy swoim zdaniem ukształtowanym po latach: „Widocznie walczyliśmy wówczas z tą plagą niezbyt skutecznie, skoro spekulanci przetrwali do naszych czasów” (str. 66). Wykorzystanie zaś listów od matki nadaje książce charakter osobistych wspomnień.

W większości książek wspomnieniowych przyzwyczailiśmy się odnajdować osobisty stosunek autorów do opisywanych wydarzeń, które czasami po latach jawią się jakby anegdotą.

Becela nie chce uchodzić za literata. „Na siłę chcę za mnie zrobić literata” — powiedział niedawno w wywiadzie dla „Expressu Poznańskiego” — o ja chcę być po prostu kronikarzem — człowiekiem, który spisuje mało znane wydarzenia”. I w rzeczywistości na kartkach tej książki jest właśnie kronikarzem. Ze zaś przeszłość, o której pisze, doczekała się dotychczas mało jeszcze książkowych wspomnień — „Smak wolności” jest pracą, którą czyta się tym chętniej. Przypomina sprawy i ludzi, zasługujące na pamięć. W niejednym książka ta może mogłaby wesprzeć poszukiwania naukowców, bo niewiele przecież zachowało się dokumentów z tamtego okresu.

Warto po tę książkę sięgnąć również dlatego, żeby skonfrontować własne doświadczenia i przeżycia sprzed 22 lat z punktem widzenia tych, którzy podjęli wówczas trud sprawowania władzy.

*) Tadeusz Becela — „Smak wolności”. Wspomnienia z roku 1945”. Wydawnictwo Poznańskie — 1967 rok, str. 172, ilustr. nakład 4000, zł 12.



W czasopiśmie tego tygodnia znajdziemy szczególnie dużo materiałów poświęconych problemom Francji w związku z wizytą w Polsce prezydenta de Gaulle'a.

„Kultura” prawie całe wydanie zapelnia tego typu publikacjami. Dominik Hordynski pisze nt. „General de Gaulle w Polsce”, a Włodzimierz T. Kowalski drukuje artykuł „Z II wojny światowej. De Gaulle a Polska”. W „Polityce” Leszek Kołodziński w artykule „Marianne bez zmarzłówek” zastanawia się nad problemem, czy Francja współczesna jest Francją nowoczesną. Okazuje się, że i problem wewnętrzny, przed którym stoją Polska i Francja są niekiedy bardzo podobne. Pod hasłem tygodnia „Visitez la Pologne” „Szpilki” zamieszczają materiały satyryczne wyłącznie francuskie lub na temat Francji.

Ze spraw społeczno-politycznych warto też wymienić artykuł Jana Kielńskiego w „Prawie i Życiu” pt. „Nikczemność”, w którym znajdujemy udokumentowaną relację z tego, jak wydawnictwa zachodniemieckie za pośrednictwem Izraelskiego Instytutu „Iad Waschem” fałszują prawdę o postawie Polaków wobec Żydów w czasie okupacji.

W wielu publikacjach znajdujemy dalszy ciąg wakacyjnych dyskusji na temat szkolnictwa. Wobec pojawiających się